

M. STAWISZ.

GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

18

I.

— Panie Górkiwicz — rzekł do niego przy-ciszonym głosem, ujmując kłapę jego surduta w dwa palce — czy nie mógłby mnie pan po-informować cokolwiek... co do tych, panie te-go... Gawlików. Pan kręci się w tych sferach i wiem, że zna ich pan doskonale.

— O co panu hrabiemu chodzi, — zapytał Górkiwicz, zbagacony agent handlowy, który był w ciąglem poszukiwaniu za żoną, mającą mu przynieść w posagu przynajmniej sto ty-sięcy koron — czy o pochodzenie tych ludzi, czy też o obecny ich stan majątkowy?

— O jedno i drugie.

— Więc pan hrabia przyjął dzi-siejsze zaproszenie, nie wiedząc do kogo przychodzi? — zdziwił się iro-nicznie Górkiwicz i w oczach jego zimnych przebiegł złośliwy, pogar-dliwy wyraz.

— No, no, panie Górkiwicz, zo-staw pan te uwagi dla siebie — zi-mno odparł hrabia Guccio, którego błękitna krew jeszcze niekiedy czuła była na dotkliwe ułucia.

Agent błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Znajomość hrabiego, choć zbankrutowanego doszczętnie, była mu potrzebna. Przez niego tyl-ko dostać się mógł do tych sfer, do których pchał się jeszcze dotąd bez-skutecznie. Przysługa więc, uczyn-iona hrabiemu, mogła mu się w przyszłości nieźle opłacić.

— Niech pan hrabia daruje — wyrzekł, kłaniając się uprzejmie. — Pozwoliłem sobie na żart niewła-ściwy i najmocniej pana hrabiego za to przepraszam. Służę chętnie wszelkimi informacjami.

— Więc te Gawliki... panie te-go... myślisz pan, że dobrze już w pierze obrośli... co? Skąd się to wzięło tak nagle na bruku na-szym, co?

— Rzeczywiście, marka na nich świeżutko naklejona — zaśmiał się Górkiwicz. — Szcześnie mieli. Przed paroma miesiącami nikt o nich nie wiedział.

— Więc nie tutejsi chyba?

— Właśnie, że tutejsi, on były fryzjer, ona sklepik dzierżawiła.

— Oh!... — skrzywił się wymo-wnie hrabia Guccio... — Legitymacja jasna... Maman Gawlik ma rzeczy-wicie charakterystyczną postać. No i tak nagle, powładasz pan, w górę, fiu! jak rakietą! Żeby tylko z tego popiół i dym nie pozostał!

— Przyszłości nikt nie przewi-dzi — odparł filozoficznie Górkiwicz. — Tymcza-sem wiadomo w mieście, że Gawlik operuje do-skonałymi interesami, na których bajeczne wprost sumy zarabia. Wszyscy się nawet dziwią, że w tak krótkim czasie nabral potężnego do tego sprytu. Ale cóż? Dziś takie rzeczy, że los człowieka od szczęścia jego zależy. Trafił na wstępie na dobry interes i teraz jedno za dru-giem idzie.

— Gotów jeszcze córkę dobrze wydać za mąż — rzucił od niechcenia hrabia Guccio. — Ciekaw jestem, ile też mógłby jej dać posagu.

Górkiwicz uśmiechnął się pod wąsem. Do-skonale już przejrzał, do czego hrabia, żyjący z renty udzielonej mu przez rodzinę, zmierza.

— Hm! — mruknął, namysławiając się. — Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce może i milione-k się zbierze. Słyszałem, że w tych dniach robi jakiś interes na parę kroci. On to szczęście co ma, to w części zawdzięczać może swojemu wspólnikowi.

— Wspólnikowi! Któż to jest?

— Oh! pan hrabia zna go przecież, to ten Kręcki, co niegdyś był przy nacie w Borysta-wiu. Rzućmy człowieka i stosunki ma. Tam, gdzie jemu samemu afiszować się nie wypada, to pod-

stawia Gawlika i obydwa na tem dobrze wy-chodzą. Bo on się szanuje, widzi pan hrabia, tutaj nawet dziś nie przyszedł, bo nie chce, że-by o jego konszachtach z Gawlikiem głośno mówiono. Oh! mądry to człowiek! Broń Boże jakiego nieszczęścia, to on z niego wyjdzie cało, a Gawlik beknie. Ale on ostrożny jest i niema na razie obawy, aby mu się noga podwinęła... Przyjrzał się pan hrabia dobrze pannie? I bez pieniędzy by ją niejedną wziął.

— Nogi ma grube w kostkach i inteligencyi za grosz — skrzywił się lekko hrabia Guccio. — Papa Gawlik będzie musiał się dobrze opłacić, jeżeli za wysoko patrzy. — Odwrócił się na pię-cie i skierował w inną stronę salonu. Dowie-dział się już, czego mu było potrzeba i nieda-wno w głowie zrodzona myśl konkretniejsze przybierać zaczęła formy.

W tej chwili ruch żywy zaszumiał przy wej-ściu. Na progu stanął Franciszek w niepokala-nej świeżości fraku i rzucił bezdźwięcznym, wy-raźnym głosem:

— Państwo Szulcowie z córką.

Szulcowie, dowiedziawszy się od Olearczy-



W tej chwili ruch żywy zaszumiał przy wejściu. Na progu stanął Franciszek w nie-pokalanej świeżości fraku i rzucił bezdźwięcznym, wyraźnym głosem:

— Państwo Szulcowie z córką.

kowej o przyjęciu, które miało nastąpić u Ga-wlików, zapragnęli nagle, aby ich zaproszono. Właściwie myśl tę podała córka ich Wikta, która rozpięła ciekawość i chęć skrytykowania mie-szkania Gawlików, jak również pragnienie po-znania towarzystwa zaproszonego przez nich na ten dzień.

Olearczykowa zaś potrafiła do tego stopnia ciekawość tę zapalić, że w dwa dni później Szulcówna, spoikawszy przypadkowo Kazię na ulicy, pierwsza przystąpiła do niej i obydwie rywalki, zapominając o wzajemnych urazach, uściśniły się serdecznie, obliczając w duchu ko-rzyści tego nowego porozumienia.

— Muszę się z nią przeprosić — myślała Szulcówna, — bo inaczej nigdy wiedzieć nie będę, czy urządzenie ich mieszkania nie jest bogatsze od naszego. Olearczykowa za wiele o tem opowiada.

— Zmiażdżę ją opowiadaniem o wspaniałym wieczorze, jaki wydamy — kombinowała Ka-zia. — Zgłupieję, jak się dowie, kto do nas przyjsć obiecał. A nawet gołowa jestem ją za-prosić. Niech się sama przekona, czy ze mną równać się może.

Po wejściu Szulców nadpływać zaczęła re-

szta gości. Zjawili się nawet parę osób zupeł-nie nie zaproszonych przez Gawlika, a które tylko przez osoby trzecie dowiedziały się: „Ga-wlik wydaje wspaniałą kolację”. Stary Franci-szek co raz to rzucał od progu jakieś krótkie, dziwacznie brzmiące nazwiska, pośród których zabłąkało się czasem jedno o szlachetniejszym brzmieniu, z jego poważnej, wygolonej twarzy nie znikał ani na chwilę obojętny, lekko ironi-czny wyraz.

Raz tylko, kiedy spojrzenie jego zbiegło się ze wzrokiem hrabiego Guccio, Franciszek uśmiech-nął się porozumiewawczo i w parę minut za-anonsował podanie kolacyi. Szulcowie i Wikta pobladły na widok wytwornie zastawionego stołu.

Długi stół, ustawiony w poprzek obszernej jadalni, aż lśnił zdala od obfitości srebra i kry-sztalów.

Pośród wznoszących się wysoko kloszów z owocami i cukrami, barwnymi plamami wy-kwitały wspaniałe bukiety, ręką starannego ogo-rdnika ułożone, roznosząc miłą, dyskretną woń dokola.

— Skąd oni nabrali tyle sreber — szepnęła Szulcowa do córki, korzystając z chwilowego zamieszania przy za-bieraniu miejsca przy stole.

— Musieli pożyczyć — odszep-nęła Wikta, przygryzając usta ze złością.

Dnia tego Szulcówna miała wy-gład bardziej jeszcze pospolity niż zazwyczaj. Niefortunny kolor sukni jasno poziomkowy, rażąco odbijał od rudych włosów, skręconych w lo-ki nad czołem, podnosząc jeszcze bardziej zasilny kolor jej twarzy, której nawet puder złagodzić nie potrafił.

Małe jej złośliwe oczy biegały jak na sprężynach, na wszystkie strony, obserwując, krytykując co-kolwiek tylko pod spojrzenie jej padło.

Widok drugiego służącego, sto-jącego na uboczu z serwetą w rę-ce, do reszty popsuł jej humor.

— Widzi mama — syknęła do ucha Szulcowej. — Mało im było jednego, drugiego sobie przyjęli. My-ślą, że nam zaimponują!

— Pewnie także wynajęły — pocieszyła ją matka.

Po chwili ład już zapanował przy stole.

Obok Szulcowej, duszącej się w jedwabnej, zielonej sukni, umie-szczono również jak ona sapiącego i otyłego kupca, który zachowywał się w ten sposób, że zdawało się, iż robi Gawlikom zaszczyt niemający, iż raczył zjawić się w ich progach.

Po drugiej zaś jej stronie sie-dział milczący, chmurny jegomość o wybitnie semickich rysach. Był to jeden z aferzystów, z którym Ga-wlik zapoznał się przy robieniu in-teresów, król pokątnej giełdy kra-kowskiej.

Górkiwicz przedzielał Gawliko-wą i Wikę Szulcównę, bardzo nie-zadowoloną z tego sąsiedztwa.

Narzeczony jej, podstarzały, schorowany ba-ron, w ostatniej chwili wymówił się napadem silnej migreny. Reszta panów umieszcila się do-wolnie, wobec małej liczby kobiet znajdujących się w towarzystwie.

Kazia do ostatniej chwili miała nadzieję, że towarzyszem jej będzie hrabia Guccio.

Ten jednakże, dla którego dobra kolacya i wina były na razie największą przynętą tego wieczora, wybrał sobie wygodne miejsce, pra-wie na samym końcu stołu, przy starym jakimś ex-obywatelu ziemskim, który Gawlikowi pod-sunął był kilka dobrych interesów, zadawałając się małym procentem za pośrednictwo. Kazia zaś dostała za sąsiada pewnego kapitana, któ-ry zajmował się dostawami wojskowymi i który lepiej się czuł w towarzystwie kupców i agen-tów handlowych, niż w kasynie oficerskiem, po-śród swoich kolegów.

„Menu” kolacyi, wybrane przez Franciszka, okazało się rzeczywiście wyborowe i zadowo-lnić mogło nawet wytrawnego smakosza. Do ka-żdego dania podawano dwa doskonałe gatunki win do wyboru.

(Ciąg dalszy nastąpi).